

W tomiku Henryka Nicponia jest wszystkiego po trochu: ogródek z kwiatami, zagubiony człowiek, życiorys stołu, rozmyślania osoby świeckiej i osoby świętej na temat religii, folklor, mitologia, dusza i ciało. Więcej duszy niż ciała. Niejednoznaczne bardzo to wiersze. Z jednej strony wiele z nich jest nieprzeciętnych, mimo że wykorzystują znane motywy, z drugiej – są również i takie, których nie można określić mianem innym od grafomanii lub tendencyjności. Jedno jest pewne – „Zapach maciejki” ma w sobie coś, co intryguje. Coś, czemu warto bliżej się przyjrzeć.

Tomik przeczytać najlepiej od początku do końca, bo tylko wtedy zauważyć można zależności między wierszami – światem w nich przedstawionym i tematyką, która raptownie zmienia się w połowie tomu. Tytułowy wiersz „Zapach maciejki” wyraźnie odznacza tę granicę, kończąc wędrówkę po ogrodzie kwiatów, rozpoczynając jednocześnie serię utworów o zróżnicowanej tematyce. Nie sposób ocenić go bez dokonania umownego podziału właśnie na te dwie części.

I tak, w pierwszej z nich Nicpoń zabiera nas w świat, w którym kwiaty stanowią determinant wszystkiego. Ich magiczna moc kreowania, a także wpływania na ludzki los ustawia je na równi z Bogiem i Fatum jednocześnie. Są najważniejszym elementem, od którego przedstawienia wychodzi poeta w każdym wierszu. Punktem wyjścia w kolejnych utworach jest zatem zobrazowanie kwiatu – jego wyglądu, zapachu lub tego, czego jest on symbolem. Za tą charakterystyką podąża dopiero właściwa opowieść.

Pierwszą rzeczą, która nasuwa się od razu po przeczytaniu tomiku, jest skojarzenie z epoką romantyzmu. Tam przecież natura stanowi najpotężniejszą w świecie siłę. Jest rozumna, co dodaje jej wielkości, umniejsza zaś sprawnie perspektywę, z jakiej patrzy się na człowieka. Za romantyzmem kroczy też Leśmian – i to jego poezja zdaje się być główną inspiracją dla autora „Zapachu maciejki”. Wystarczy jedno zdanie, by uchwycić podobną nutę:

"Wbrew ostrzeżeniom staruchy
podarowałem kwitnącą gałązkę wilczego łyka
dziewczynie znikającej we mgle."

Odniesienia do folkloru wyrażone zostały poprzez częste przywoływanie motywów: staruchy, wiedźmy (niejednokrotnie w jednej osobie), na wpół realnej dziewczyny, zamroczony czy zaświatów i na funkcjonowaniu ich w różnych płaszczyznach czasowych: rzeczywistej, magicznej i mitologicznej. Bogactwo materiału (odnośników do ludowości, tradycji itd.), będące fundamentem „Zapachu maciejki” pozwoliło Nicponiowi stworzyć coś interesującego, ale i zarazem nużącego chwilami.

Najbardziej fascynuje „kwiatowa” mitologia poety. Tworzy on (czy wręcz: ustanawia) nowy porządek rzeczy, odnosząc się do zasłyszanych (u staruchy) opowieści. Jak przystało na prawdziwą mitologię, doszukać się tu można kilku wersji jednego mitu. Wynika z tego na przykład, że kaczeńce są resztkami po warkoczu komety albo że pewna dziewczyna „tańcząc ślubny taniec na podmokłej łące / rozsypała się na kaczeńce”. Co ciekawe, argumentacja jest na tyle przekonująca, że można poecie uwierzyć choćby w to, że śnieg powstał w wyniku rozsypania się skrzydeł grzesznego anioła. Za wprowadzeniem nowej mitologii idzie od razu przetasowanie zastanej hierarchii. Realizm i empiryzm ustępują miejsca magii i duchowości. Odnoszą się do metafizyki, ale metafizyka ta nie wyrasta „skądś tam”, z irracjonalnej przestrzeni. Jest ona silnie zakorzeniona w naturze i dopiero emanowana z niej wkracza w przestrzeń jako czysta *res cogitans*.

Utworów Nicponia nie można zakwalifikować jednoznacznie do liryki. W jego wierszach do głosu dochodzi narrator, opowiadacz, który jest najczęściej zarazem i bohaterem sytuacji przedstawionej. Ten synkretyzm dodatnio wpływa na odbiór wierszy. Poza pozytywami jednak, w pierwszej części tomiku dostrzec można i ciemne strony, tożsame też w dużej mierze z tymi, które znaleźć można w części drugiej, tej „o wszystkim”.

Rzeczywistość u Nicponia przyjmuje szare kolory. Kiedy nawet pojawia się cień radości, błysk słońca, szybko gaśnie on pod czujnym okiem bezwzględnej przyrody. Kwiaty, będące Istotą Najwyższą, sterującą światem, są nieczułe i nieprzyjaźnie do człowieka nastawione w działaniu. Przez ich widzimisię (nazwane obroną odwiecznych zasad) dochodzi do zbyt wielu sytuacji niespełnionych, niedokończonych (jak te konwalie, z których bohater się cieszy, a okazują się zwykłą ułudą, jak niezapominajki, których nie kupił, co stało się przyczyną nieszczęścia) – to męczy. Bo coś jest już-już na wyciągnięcie ręki, by szybko okazać się niedostępnym, a przy okazji być też źródłem rozczarowania, żalu i rozpacz.

Natura nie daje się okiełznać, stoi w opozycji do człowieka – ale po co uwidaczniać to w aż tylu wierszach? Z tym przykrym obrazem łączy się podniosły, nieraz nawet patetyczny sposób przedstawiania kolejnych historii oraz grafomańskie wręcz stosowanie wyliczeń i pauz. To przytłacza i staje się nieznośne. Pesymizm może być piękny, jednak nie wtedy, gdy bohater dochodzi co rusz do następujących, jednobrzmiących wniosków:

"Może więc lepiej
wypić lampkę wina
kupić bukiet frezji
i zwiędnać razem z nimi"

Część druga tomiku jest bardziej różnorodna. Na uwagę zasługują tu szczególnie wiersze "List świętego", "Z zapisków świętego", "Autoportret" i "Zbłąkana dusza". Pierwsze dwa udowadniają, jak złożoną, a jednocześnie pełną antagonizmów jest ludzka psychika. "Autoportret" w świetny sposób pokazuje opozycję normalności z nienormalnością (co jest czym?), a jego przewrotność porównywalna jest z tą wypełniającą zbiór opowiadań "Korytarz" autorstwa Marka Ławrynowicza. "Zbłąkana dusza" stanowi natomiast podsumowanie tomiku. Jest jednocześnie spowiedzią bohatera, intymną i, wydawałoby się, szczerą. Perełki te podnoszą wysoko do góry noty tomiku, sprawiają też, że warto do niego zajrzeć.

Anna Szczepanek
Źródło: granice.pl